1. czerwca. Nr. 10. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1., 11., i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Frenela Nr. 114 — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Myśli o wychowaniu.

Czują to wszyscy w obecnej chwili, że wychowanie młodzieży u nas, mianowicie męskiej, dużo bardzo pozostawia jeszcze do życzenia. Dlatego częste i nieustanne wzmianki po dziennikach o tem tak ważnem przedmiocie, dlatego i my podnosimy głos nasz, i w rozprawkach krótszych lub dłuższych podawać będziemy rozmaite w tej mierze myśli, własne, lub nadsyłane nam przez dbałych o dobro młodzieży naszej.

Kwestya ta, podług przekonania naszego jest tak ważną, że nigdy za wiele o niej mówić nie można, a najstosowniejsze dla niej miejsce w piśmie dla młodzieży. Gdy się często kołacze, przecież nakoniec coś się wykołacze — bodajbyśmy to i o nas powiedzieć mogli! Może jeden, może dwóch lub trzech czytelników naszych przyjdzie do zdrowszego w tej mierze pojęcia, a wtedy pisanie nasze nie było daremne.

Pragnęlibyśmy zgromadzić w około siebie młodzież polską, i zakląć jako bracia i rówieśnicy: Nie marnujcie czasu, szanujcie zdrowie, zbogacajcie wasz umysł, a przedewszystkiem kochajcie co wasze, rodzime: wasz kraj, waszą mowę, wasze obyczaje, i zwyczaje; — kochajcie i szanujcie prochy ojców naszych, co spią pod mogiłami tej samej ziemi, po której wy deptacie nie powiem odrodni, ale zobojętniali, zimni, bez wiary, bez nadziei, bez miłości. Mamy bowiem — przyznajmy się — bardzo mało poczucia godności własnej — nie szanujemy się sami — frymarczymy spuścizną ojców i poniewieramy ich wspomnieniem — lekce ważymy wszystko, co nasze i tym sposobem sami dobrowolnie się wynaradawiamy. Małpujemy obce mody — mówimy obcą mową — w całem otoczeniu naszem chętniej widzimy obce niż swoje. I tak powoli, szczebel po szczeblu zeszliśmy na to, że nas już to nawet nie rązi i nie obudza wcale naszego sumienia narodowego.

Trzebaby temu zaradzić, zaradzić koniecznie. Nie sądzimy, ażeby za słowem naszem, jakby za uderzeniem bębna, poruszyła się zaraz młodzież i weszła na drogę zbawiennej reformy — lecz nie chcielibyśmy znowu także, ażeby wiatr je rozwiał i zaniósł na puszczę. Sądzimy, że słowo serca powinno trafić do serc prawych i poczciwych. Reformę jednak trzeba już zacząć od bardzo młodego wieku. —

Podajemy dzisiaj nadesłany nam przez znaną autorkę artykuł o wychowaniu, pod obraną przez nię nazwą:

Gdybym była matką syna:

Gdybym była matką syna, najprzód uczyłabym go sześciu koniecznych *warunków życia:* modlić się szczerze — ufać Bogu niezachwianie — dotrzymywać święcie danego słowa — brzydzić się kłamstwem — kochać pracę — być oszczędnym.

Gdybym była matką syna: nie przestałabym mu powtarzać, że te sześć warunków są mu niezbędnymi do życia tak ze strony moralnej jak i materyalnej — że brak ich i niedopełnienie w *młodzieńcu* bywa głównym powodem poźniejszego *znikczemnienia mężczyzny.*

Że kto nie lubi czy nie umie się modlić, nie czuje potrzeby dziękowania i proszenia słowem, kto nie ufa Bogu nie może wytrwać w żadnej, choćby najmniej trudnej kolei życia, ani w jakimbądź przyszłym jego zawodzie.

Powtarzałabym mu, że kto nie umie lub nie chce dotrzymać raz danego słowa — nie zjedna sobie wiary ani szacunku bliźnich, a bez szacunku powszechnego i kredytu, niepodobna istnieć uczciwemu człowiekowi w jakimbądź stanie i społeczeństwie.

Żeby umieć dotrzymać święcie słowa danego przez nas innym, potrzeba się wprzód pouczyć dotrzymać go sobie samemu — być mężnym w duchu — wstrzemięźliwym. Bez namysłu nic nigdy nie przyrzekać, gdy zaś z rozmysłem dasz słowo, niechaj od wypełnienia nic wstrzymać cię nie będzie w stanie — ani skwar słońca, ani nawalnica, ani lekka słabość, ani zajęcie ważne, ani zabawa, ani żadne inne względy lub podobne przeszkody.

Mówiłabym mu, że kto raz przywyknie do kłamstwa i lekce ważenia prawdy, nic dla niego nie jest święte — staje się próżnym samochwalcą — brak istotnych zalet własnych nie waha się zastąpić zmyślonemi, to zaś przekonanie usiłując za pomocą fałszu wmówić w drugich, wpaja go nareszcie i sam w siebie i przestaje na niem jak na zdobytych wawrzynach zamiast pracować nieustannie nad swem udoskonaleniem

moralnem — a tak co miałby postępować naprzód, w tył się cofa — w miejsce zaś uwielbienia dla siebie ze strony innych co właściwie celem jest obłudy jego — przy bliższem poznaniu ściąga raczej ich pogardę!

Że człowiek oswojon z fałszem przywykły uważać i podawać siebie za coś wyższego jak jest istotnie, nie waha się spodlić sam przed sobą, dla otrzymania się w opinii drugich na tem zmyślonem stanowisku — zaciąga długi, podpisuje weksle (niekiedy i fałszywe) nie myśląc wcale o strasznych następstwach tej lekkomyślności i chwilowego zadowolenia swej nagannej próżności.

Powtarzałabym mu od lat niemowlęctwa jego, że pierwszym szczeblem do umiłowania prawdy jest mówienie jej zawsze przed twą matką. — Ona znać powinna twoje uczucia, myśli, rozmowy z towarzyszami, twoje przekroczenia nawet nie wahaj się powierzyć twej matce jakby spowiednikowi. Znajdziesz w niej wprawdzie surowego sędziego, lecz oraz i najwierniejszego przyjaciela, wszelką pobłażliwość możliwą — pociechę i serdeczną a sumienną radę.

Powtarzałabym mu, że z zamiłowania pracy wynika dla nas korzyść dwojaka: moralna i materyalna — pierwsza jest ta, że praca kształci nasz umysł i hartuje ducha, rozwija w człowieku charakter i energię do działania. Korzyści zaś materyalne zamiłowania w pracy są nie obliczone! Dość powiedzieć, że bez tego zamiłowania trudno byłoby istnieć na świecie komubądź, ubogiemu a nawet i zamożnemu w dzisiejszych stosunkach społeczeńskich i postępowych. Pracą nakoniec możemy osiągnąć wszystko: wykształcenie, chleb powszedni, wygody, bogactwo, znaczenie i zasługi w narodzie.

Nim weźmiesz się do jakiejbądź pracy, rozważ wprzód dobrze nad jej skutkami czyli wynikiem przyszłym — czy z niej wypłynie jakibądź pożytek dla drugich lub dla ciebie — gdy zaś o tem się upewnisz, weź się śmiele do dzieła — a raz poczęte, nie porzucaj aż ukończysz.

Powtarzałabym mu, że to życie bojem jest nieustającym, w niem bowiem wywalczać sobie trzeba wszystko — powietrze, którem oddychamy, chleb, wodę, każdy stopień i najmniejszą godność a nawet wolność pełnienia cnoty! gdyż i ta bywa często przeciwnie tłumaczona i w nas przez drugich potępiana. Że to przekonanie acz smętne wprawdzie zrażać cię jednak do życia nie powinno — owszem ta przykra konieczność jest dla nas jednym więcej dowodem, że ta ziemia bojów jest tylko dla nas przechodnim pobytem — ufny zatem w pomoc Boga, w siły własnego ducha i woli, pracując walcz mój synu z uśmiechem na czole, jak niegdyś przodkowie twoi jedną ręką pług prowadząc, drugą w kord z imieniem Maryi uzbrojoną, wywalczali sobie chleb powszedni i byt niezależny.

Tak to było od początku świata, i tak będzie do skończenia jego — z tą tylko różnicą, że przy zwiększonej dziś ludności i cywilizacyi ty nie pięścią i nie samą szablą — ale słowem i czynem staczać masz twe boje, wywalczać uznanie i wolność dla wszystkiego, co prawe, pożyteczne i wzniosłe — masz zdobyć sobie prawo wyższości moralnej — przez cnotę niezachwianą i odważną — przez stałość twych zasad — przez obojętność na błahą opinię świata, bez lekceważenia jednakże zdania o tobie ludzi, zasługujących ze wszech miar na twój szacunek.

Obok tej walki nie zapominaj też i o tem, że wielu ludzi mimo wielkich prawdziwie czynów, byli niepojęci i potępieni, przez to że skąpili słowa — o ile bowiem cechą dusz wyższych jest wstręt do wielomowności i to przekonanie, że czyny a nie język usprawiedliwiają człowieka — piętnem znów motłochu i oraz *naszego tu* potępienia jest to, że tak bohaterowie świata jak i święci pańscy do śmierci słowami usprawiedliwiać mu się musieli.

Przykładem pokory w tych dążeniach i wytrwałości w tych pracach, w tem życiu cichem czy głośnem wszędzie i zawsze niech ci będzie stałość boskiego mistrza z Galilei — w nim bowiem znajdziesz w każdym razie starożytną mądrość stoików, w połączeniu z szczytem późniejszej cierpliwości chrześciańskiej.

Wielkość Chrystusa niech wzorem i bodźcem twoim będzie tak w wielkich jak i w najdrobniejszych działaniach twoich — z pamięcią oraz, że źródłem wytrwałości Jego świętej było głównie poddanie ciała swego pod panowanie ducha — duch też Jego stał niezłomny, wielki zdrowiem miłością i czynem!

Te i tym podobne upomnienia w parze z zwyczajnym katechizmem, byłyby podstawą i stroną teoretyczną wychowania mego syna. — Stronę zaś jego praktyczną zasadzałabym co do *sześciu warunków życia*, głównie na czynnym dobrym przykładzie z mej strony jako matki, na praktycznych, drobnych a częstych i do wieku stosownych ćwiczeniach go w nich od dzieciństwa. Na opowiadaniu mu rozmaitych przykładów z własnego i cudzego życia, doznanych widocznie łask Opatrzności, którychto każdy doświadcza mniej więcej — choć nie każdy chce i umie zwracać nań uwagę i oceniać je należycie.

Na zachowaniu nakazanych postów, bez nadwyrężenia jednakże sił jego ciała i ochoty ducha zbytnią ostrością i przesadą.

Wstrzemięźliwość i cała surowość niegdyś spartańskiej szkoły wychowania, poźniej z religią naszą zaprowadzone posty, jeden i ten sam niezawodnie choć złagodzony znacznie mają cel i zamiar, zahartowania ciała i dodania duchowi naszemu zdrowia — Pan Bóg bowiem nie potrzebuje dla powiększenia swej chwały umartwień ani ślubów naszych — a tem mniej ślubów nakazanych — w swej jednakże łasce i dobroci przyjmuje je od nas wykonane dobrowolnie i w pokorze, dlatego jedynie — że wpływają na nasze własne dobro.

Na obudzaniu w nim wstrętu do gorących napojów, co tak wcześnie podkopują dziś zdrowie i zabijają ducha młodzieży naszej. Na częstym ruchu i przebywaniu na świeżem powietrzu i oświecaniu ciała jego z wszelkiemi tegoż zmianami.

Na przechodzeniu nieznacznie i bez długich odpoczynków z jednego zatrudnienia w drugie, a sama ich zmiana, byłaby już w części dlań odpoczynkiem.

Na strzeżeniu go od tracenia czasu na długich a próżnych rozmyślaniach i kontemplacyach, któreto poczytywane zwykle w dziecku lub młodzieńcu przez jego rodziców i prowadzicieli za wczesny objaw rozwagi i poźniejszego jeniuszu — wykierować go mogą przy bujnej a loiką niewstrzymywanej wyobraźni i fantazyi na ekscentryka graniczącego z waryacyą, lub na leniwca z słabym i ospałym umysłem.

Na przyzwyczajaniu go nakoniec od najwcześniejszego wieku do umiejętności oszczędzania i nieważenia lekce pieniędzy, czasu, odzieży nietylko nowej, ale i zużytej, słowem wszystkiego, co tak jemu samemu, jak i dla bliźniego w danej chwili przydatne i użyteczne być jeszcze może. *D. c. n.*

Młodej braci na rozstaju.

Nie zapytuj dróg u świata —
Świat prawdziwej ci nie wskaże;
Milion się ich z błędem splata,
Wszystkie wiodą na cmętarze.

Gdy ci wskażą tę lub ową,
Przez połowę wierz jak baśni,
A podane radne słowo
Niech sumienie ci wyjaśni.

W rzemieślnicze bo przechwałki
Świat ubiera nędzę doli,
Z wierzchu świeci blichter miałki,
Kiedy w głębi przesyt boli.

Patrz w twe serce — w sercu na dnie
Płonie święta iskra Boga.
Ona niechaj cię owładnie,
To we wieczność twoja droga.

Śniła ci się już bywało
Czarującym snem dziecinie,
Pacholęciu, w lilię białą
Myśl zmieniała w złej godzinie.

Raz młodzieńcze duszę twoją
Nawiedzała już natchnieniem,
Aniołowie na niej stoją
Z nieustannem objawieniem.

Toż w natchnienie rzuć się cały,
Niepowrotnie idź a szczerze,
A nie pytaj czy do chwały,
Czy cię wiedzie na pręgierze.

Tu cię święty spokój czeka,
Ale uzbrój ducha stalą,
Bo wędrówka to daleka —
A we wiernych gromy palą

1860. Miecz. R.

Napad Tatarów
w r. 1519.

Działo się to za panowania króla Zygmunta Igo. Niecny zdrajca Gliński wplątał Polskę w krwawą wojnę z Moskwą, z której Polacy jak najchlubniej się wywiązali, położywszy pod Orszą 8. września 1514 roku, 40.000 moskalów trupem, zabrawszy w niewolę więcej niż 200 bojarów i radnych panów moskiewskich, prócz niezliczonej liczby gminu; wszystkie chorągwie i 20.000 koni wpadły w ręce zwycięzców. Ale nie umieli Polacy korzystać z tego zwycięstwa — bo cóż łatwiejszego było jak odebrać przerażonym tą klęską moskalom tylko 10 mil od bojowiska odległy Smoleńsk, który zdradziecko na wiosnę tego roku zajęli — ale praojcowie nasi lubieli po zwycięstwie, jako po ciężkiej pracy, odpocząć i cieszyć się z wygranej.

Gdy we wszystkich kościołach polskich grzmiało dziękczynne Te Deum za odniesione zwycięstwo i król Zygmunt wśród błogosławieństwa ludu wjeżdżał z brańcami moskiewskiemi do Wilna — car Wasyl „będąc tą straconą bitwą przestraszony a prawie ku szaleństwu pobudzony ... z Smoleńska w małej kupce do Moskwy takim pędem bieżał, iż za dzień a noc kilkadziesiąt mil naszych ubieżał" [1]). Upokorzona Moskwa, nie mogąc otwarcie w polu zrównać Polakom, skrycie starała się im wszelkim sposobem szkodzić.

Mieszkali wtedy w dzisiejszym Krymie i jego północnych równinach między Dnieprem a Donem Tatarzy perekopscy. Był to naród zupełnie dziki, niemiłujący ani rolnictwa ani handlu, ale silny i bitny, nie mający żadnej prócz wojennej organizacyi. Za wezwaniem chana, najwyższego dowódzcy, stawały całe chmury tego pogaństwa na rączych koniach, bachmatami zwanych, gotowe do łupieskiego napadu w którebądź sąsiednie państwo. Sami zawiśli od Turków pobierali tak od sąsiedniego króla polskiego, jak i od cara moskiewskiego roczny żołd, ale pomimo tego wiarołomni najeżdżali i pustoszyli prawie corocznie Polskę i Moskwę [2]).

Tych więc Tatarów użył upokorzony zwycięskim orężem Polaków pod Orszą, car Wasyl za narzędzie swej zemsty. Posłał ich chanowi wielkie sumy pieniędzy z bogatemi upominkami i zawarł z nim przymierze, na mocy którego chan zobowiązał się wpaść w ruskie ziemie króla Zygmunta, car zaś miał z drugiej strony do Litwy wtargnąć.

Jakoż rzeczywiście ujrzały polskie krainy z przerażeniem w lipcu tegoż roku, nawalną chmurę czterdziestu tysięcy Tatarów. Gęste kłęby dymu płonących wiosek i miasteczek i popłoch ludu oznaczały drogę ich pochodu przez Wołyń. Przeprawiwszy się przez Bug roz-

1) Bielskiego Kronika pod r. 1514. 2) Johann Tröstes Polnisches Adler Nest, Beschreibung des Königreiches Polen. Nürnberg 1666.

*

puścili liczne zagony w województwo lwowskie, belskie i lubelskie. Drapieżne te kruki rozleciały się w gromadach większych i mniejszych po siołach i miasteczkach. A było to w lipcu — piękne niwy małoruskie, kołyszące się wzdłuż i wszerz bujnem zbożem, tratowały teraz tysiące kopyt tatarskich bachmatów. Wszędzie wzbijały się pod niebiosa dymy płonących wiosek i miasteczek, a ten lud nasz biedny bezbronny krępują więzami rabusie, wyrywają dzieci z objęć matek, rodzice i mężowie muszą własnemi oczyma patrzeć na zniewagę córek i żon ukochanych, a te na okrutną śmierć swych ojców i małżonków; jęki i płacze rozdzierają niebiosa, ale nie zdołają zmiękczyć skalistych serc najezdników. Przed kilką godzinami spokojna i niemarząca nawet o Tatarach wioska jakiż okropny wystawia obraz! Cerkiew złupiona i odarta z kosztowności, mieszkańcy pozabijani lub skrępowani sznurami, bydło i konie w ręku Tatarów, a ona sama cała w płomieniach. — I już odciąga od pogorzeliska zbójecka banda oprawców, zbryzgana krwią niewinną, obładowana łupem. W środku szeregi powiązanych jeńców, a naokoło nich brodaci z dobytymi pałaszami Tatarzy, trzymający obok siebie na koniu nadobne dziewczęta i młode niewiasty zamężne —, pędzą szybko dalej do drugiej wioski na podobną ucztę, nie zostawiając nieszczęśliwym jeńcom nawet tyle czasu, by mogli ostatniem spojrzeniem na zawsze pożegnać rodzinne strony. I posuwała się tak powódź spustoszenia od wioski do wioski, od miasteczka do miasteczka uwijały się bandy łupieskie, jak żarłoczne stada sępów po polach, przelatując od jednej osady do drugiej.

Wypłoszona z swych dworków szlachta ruska, zaczęła się zgromadzać w zamku sokalskim nad Bugiem, aby tam obarczoną łupami dzicz w przeprawie napaść i jeńców odbić. Zgromadziło się szczególnie wiele młodzieży, gotowej przelać krew za ojczyznę — był tam młody Firlej, syn Mikołaja hetmana i młody Fredro z przemyskiej ziemi, Fryderyk Herburt z Felsztyna odważny młodzieniec. Wnet przybieżał do nich z Wołynia sławny pogromca Tatarów, Konstanty książe ostrogski, hetman litewski z swymi Wołyńcami, których nie było więcej nad 1000, a z nim halicki marszałek koronny. Nadciągnął wkrótce i Marcin Kamieniecki, wojewoda podolski z trzema tysiącami swoich ludzi. Dowództwo obejmuje Konstantyn, doświadczony wódz, który żadnej bitwy z Tatarami nie opuścił, a tak się umiał z nimi mężnie i zręcznie potykać, że zawsze ich poraził.

Jeszcze się Polacy zjeżdżali i porządkowali, aż nagle ukazały się we wtorek 2. sierpnia na drugiej stronie Bugu wojska tatarskie, które jak szarańcza zaległy rozłożyste pola lewego brzegu. Właśnie powracając z niezliczonymi tłumami ludu i bydła, Tatarzy chcieli się w tym miejscu przez Bug przeprawić. — Na widok niezliczonego pogaństwa zadrżało serce doświadczonego wodza Konstantyna, żal mu było tej mężnej garstki walecznych Polaków, gdyż było ich tylko pięć tysięcy, a Tatarów do 40.000. Złożył więc radę wojenną z rotmistrzów i towarzyszów, na której im radził, aby się przez Bug nie przeprawiali, ale czekali, pókiby część jaka Tatarów na ten brzeg nie przeszła, i tę aby nie wszyscy razem gromili, ale tylko pojedyńczemi oddziałami, albo jeśliby się to nie powiodło, radził odciągnąć od Bugu i stanąć między bagnami, gdzieby nieprzyjaciel nie mógł rozwinąć swoich szeregów, a szczupłym hufcom polskim łatwiej by było napadać i bić się [3]).

Starsi i baczniejsi przyklasnęli tej radzie, ale młodzież, a na jej czele Herburt Fryderyk, pałająca gorącym ogniem miłości ojczyzny, chciała natychmiast pomścić jej hańbę na najezdnikach i uwolnić tysiące ziomków od sromotnego jasyru, dlatego zarzucała hetmanowi podającemu taką radę bojaźń i zazdrość, jakoby Polakom *sławy* życzyć nie chciał. Ze złożonemi rękoma błagał, by się do jutra zatrzymali i bitwy nie rozpoczynali, bo co godzina spodziewał się Tworowskiego z Podolanami, także miały przybyć posiłki z Litwy i z Wołoszy. Ale daremnie, młodzież polska była „*dziwnie chciwa potkania*“, i nietylko że nie uwzględniała rostropnych rad i przełożeń hetmana, lecz owszem poczęła mu łajać. Rozgniewany tym Konstantyn, siadł na konia i kazał w kotły do pochodu uderzyć. W oka mgnieniu zaczęły się polskie ufce przez nurty Bugu przeprawiać i w dobrym porządku dostały się na drugi brzeg, gdzie ich prawie gotowi już do boju Tatarzy oczekiwali.

Chciało nieszczęście, iż na lewym brzegu, tam gdzie Polacy wysiadali, było pogorzelisko jakiegoś przez Tatarów spalonego miasteczka, nie wiedząc więc nic o jamach i zapadach, poczęli Polacy wpadać do dołów i piwnic, a Tatarzy zza płotów, ogrodów i gruzów przywitali ich gęstą chmurą strzał, gdy Polacy ich ani szablą ani kopią dosięgnąć nie mogli. Konstanty z prawego brzegu przypatrywał się ruchom Polaków gdy ich w tak złem położeniu zobaczył, przeprowadza natychmiast swych Wołyńców w innem miejscu brodem na drugi brzeg, rzuca się lotem błyskawicy na Tatarów, a gdy dobrze sobą zatrudnił, Polacy na lepsze miejsce się wydostali, a uporządkowawszy się skoczyli na pogan. W tej chwili wszczyna się zapalczywa walka — walka męstwa z mnóstwem, 5.000 Polaków bije się z 20.000 Tatarów, bo ci tylko połową swego wojska odpór dawali. — Odprawowała się ta bitwa na roli pooranej, a że posucha w tej porze roku była, powstały ogromne tumany kurzu, tak iż Polacy ruchów nieprzyjacielskich dostrzedz nie mogli. Tatarzy zaś korzystając z tej sposobności, użyli drugiej połowy swego wojska do utworzenia ogromnego koła, tak iż Litwa i Polacy ujrzeli się naraz z wszystkich stron otoczeni. Wtedy widziałeś waleczność Polaków posuniętą do heroizmu. Szlachetny młodzian Fredro, chociaż mógł ujść z pola bitwy, skacze z kopią w ręku między Tatarów,

3) Bielskiego Kronika pod r. 1519..

zabija ich kilku i tak długo walczy, póki mu sił stawało, a nie chcąc się dać pojmać w sztuki rozsiekany został [4]. Za nim Mikołaj Firlej, młodzieniec wielkiego serca, przebija się przez szeregi na tył wojska tatarskiego i tam walcząc mężnie, znaleziony po bitwie zamordowany [5]. Konstantyn biegając upominał, wołał, serca tak Polakom jako Wołyńcom dodając, ale gdy widział, iż im siły ustały a Tatarzy mnogością przemogli, z Marcinem Kamienieckim i Stanisławem Halickim na zamek sokalski ujechał [6]. I już zaczynały polskie szeregi przerzedzone uchodzić z pola bitwy, gdy nagle Fryderyk Herburt, główny doradźca tej bitwy, z swymi się zatrzymał, a podumawszy chwilę nad pobojowiskiem, wzniósł rękę w górę i zawołał: Boże tego nie daj, abym nie miał przy mych miłych braciach gardła dać. Po tych słowach skoczył z wierną drużyną Kozaków w hufce tatarskie, a porzuciwszy konia, pieszo długo walecznie się potykał i wiele Tatarów ubił, aż nakoniec zabity i rozsiekany został [7]. Chciało więc przeznaczenie, iż główna sprężyna tej klęski padła jej ofiarą. Tatarzy otrzymali pole bitwy, wojsko polskie poszło w rozsypkę. Tatarów poległo 4.000, Polaków i Litwy 1.200.

Po tej wygranej Orda bez żadnej przeszkody ciągnąc przez Wołyń ku Dnieprowi, tysiące ludzi wszelkiego stanu z ogromnym łupem na Przekop uprowadziła. —

Lwów 1860. K. S.

---

4) M. Stryjkowskiego Kronika pod r. 1519. 5) S. Orzechowskiego Quincunx, (wtóry) 6) Bielskiego Kronika pod r. 1519. 7) Orzechowskiego Quincunx (wtóry). Bielskiego Kronika pod r. 1519.

MODLITWA PACHOLĘCIA.

Każdy chwali Ciebie Panie
Jak umie i może:
Czemu nie mam ja Cię chwalić
Po swojemu Boże!

Łza skrzy w oku, zapał w duszy:
Pieśn, drobna dziecina:
Rączętami słabiuchnemi
Się do nieba spina.

Zda się. ujął mnie za rękę
Anioł srebrnopióry:
Lecę w górę, gdzie wybranych,
Gdzie Cherubów chóry.

Coraz jaśniej — czystsze coraz
N dlatują dźwięki:
Tam na chmurze Matka Boska
Z Jezusem u ręki

Jej modlitwą dźwięczy dzwonek,
Dzwonek nasz wioskowy:
Ku niej z pieśnią drży skowronek,
Co lata u głowy.

Ku niej liczni aniołkowie
Lecą jako pszczoły:
I ja lecę — lecę ko ny.
Gdzie lecą anioły.

Na różowej klęknę chmurze,
Skroń ku ziemi zegnę:
A potem ją z aniołkami
Przywitać pobiegnę.

„Zdrowaś Marjo! Matko Boża,
Ty z niewiast wybrana:
Coś nam synka maleńkiego
Przyniosła na Pana.

I Sz.

NA PODDASZU.

Obrazek.

(Ciąg dalszy.)

Nastała chwila milczenia. Wszyscy poglądnęli na pana Anzelma, który się zaczerwienił i na podłogę patrzał, a gdy nikt milczenia nie przerywał, odezwał się:

— Ale przecież pomimo tego literatura nasza nie ma takich powieści, jak francuska. Wieczny żyd naprzykład, co to — jak mi kuzynka Bogdzia mówiła — co to za prześliczny ma być romans. Podobno kilkanaście tomów!

— Ależbo to troche gust już przestarzały — odrzekł wesoło p. Puzderko, — bo nad tem już podobno i na wsi przestali się unosić; zresztą powieściopisarstwo nasze i powieściopisarze stoją zdaje mi się nierównie wyżej od francuskich. U nas powieściopisarstwo, dzięki Bogu, nie zeszło jeszcze na prostą spekulacyę handlową jak n. p. we Francyi, gdzie taki p. August Maquet, rzucając się na pole literackie, pisze otwarcie do p. de Wailly: *„je vais demander à la littérature, ce que l'université me refuse, gloire et profit.“* Tego u nas nie ma. Powieściopisarstwo u nas jest jeszcze wprawdzie niemowlęciem, wyrastającem dopiero z pieluch, lecz niemowlęciem olbrzymiem, z wyrazem namaszczenie na młodej swej skroni, bo inne zresztą jest zadanie *naszej* powieści. Powieściopisarstwo u nas powinno być strzałą piorunną, trafiającą w sam rdzeń wad i złych nałogów; powinno apostołować pomiędzy narodem i przysposabiać drogę przyszłemu żywotowi; powinno siać ziarna wiary i krzepić ducha słowami nadziei, lecz nie wyciągać ze śmieciska towarzyskich brudów najobrzydliwsze gałgany i karmić tem czytelników.

— Obrazy malujące ohydy i zbrodnie — ciągnął rozogniony młody mowca dalej — i każące nam smakować w postaciach wyrzutków ludzkości, wzbudzają w nas wprawdzie wstręt i obrzydzenie, lecz nie działają na poprawę. Należy wykazać smutne skutki złego, należy wykryć okropne zbrodni następstwa, lecz czyż nie wpływają na nas bardziej dobroczynnie typy szlachetności i cnoty, które podnosząc nasz umysł, pobudzają tem samem do naśladowania?

— Któż naprzykład, czytając *Garbatego* Korzeniowskiego, nie ukocha duszą całą bohatera tej powieści? Kto po przeczytaniu tego pełnego duszy utworu nie zajrzy mimowoli do własnego wnętrza i nie zapyta sam siebie: byłbym też w stanie, wznieść się równie wyso-

ko? Byłbym w stanie, wydrzeć serce z własnego łona i ponieść je w ofierze tym, którzy mi je wydarli? nie jestże to nierównie większem bohaterstwem, niż skoczyć za kogoś w ogień lub położyć szyję pod miecz katowski?! — Owo powolne konanie, owo pasowanie się z samym sobą, owa szlachetność bez granic, nie rozbudzająż one prędzej moralnej w nas walki na korzyść dobrego, aniżeli typy zbrodniarzów, których widok budzi wstręt i oburzenie? — Rozpatrzmy się tylko w literaturze naszej, a przekonamy się, że ma one wzniosłe i wysokie dzieła, których piękności prześlepiamy dlatego tylko, że nasze. A czasby już przecież było zaprawdę, abyśmy zrzuciwszy z ócz naszych szkła ćmiące, zdrowemi zaczęli się patrzeć oczyma; abyśmy oceniając co dobre i szlachetne u nas, wszelkiemi wspierali je siłami i nie tamowali rozwoju poczucia narodowego lekceważeniem i obojętnością nie do darowania.

— Ale kiedybo to — odrzekł uparty pan Anzelm — kuzynka moja Bogdzia powiada, że romanse, osobliwie francuskie, obznajamiają najlepiej z światem salonowym, i że tam można się coś dowiedzieć o osobach dystyngwowanych, lwach salonów, i to — jak mama mówi — główną ich zaletą.

— Ja znowu — poderwał z zapałem p. Śledź — uważam to za dziwną manię większej części i naszych pisarzy, czerpać treść swych powieści tylko z życia salonowego, chociaż to źródło i mętne i nie bardzo obfite. Osoby salonu to wzory wykrojone podług przepisanych modelów, a jeżli który przypadkowo z innego ciasta sklejony, nie zdradzi się z tym pewnie w salonie, — podczas gdy w klasie średniej życie nierównie pełniejszemi bije jeszcze pulsami. W życiu salonowem wszystkie wydarzenia toczą się zwykłą koleją, rzadko kiedy jakiś wybryk lub wyskok uczucia, *a savoir vivre* pierwszem i ostatniem tamże przykazaniem; w klasie zaś średniej człowiek mniej jeszcze jest maską. Tu on objawia się jeszcze takim, jakim jest rzeczywiście: dziewczyna nie waha się jeszcze wyznać, że kocha młodzieńca, bo kocha go istotnie, kocha duszą całą; matka nie wzdryga się przed największemi nawet ofiarami dla dziecięcia swego, bo dziecię to jej życiem żywione, jej piersią karmione, wzrosłszy przy jej boku, stanowi część żywotną jej bytu; dziecko zaś kocha i miłuje swych rodziców całą duszą, bo od lat swych niemowlęcych przywykło w nich widzieć swych aniołów stróżów, bo niewychowane w dziesiątym pokoju od złośliwej bony cudzoziemki, nie zobojętniało zupełnie.

— Ale przecież i tam są ludzie wielkich zdolności i silnego czucia — zauważał p. Puzderko.

— Nie przeczę — odrzekł żywo młody mowca — lecz bardzo mało jest typów wybitnych; bo i nie mają żywiołu, w któremby się wyrobić mogły. Nie ma tam owego zapaśnictwa z potrzebami życia, które w ciągłej utrzymuje walce, ustala i hartuje, bo potrzeby życia nieznane tej warstwie społeczeństwa — nie ma owego poświęcenia bez granic, owego serdecznego ukochania rodziców i rodziny, owej nareszcie chwili zwycięstwa, w której niezwalczony niczem zapaśnik wywijając się z szlamu żywotnego prądu, wybiega w czyste powietrza przestworze jakby posąg ze stali, a harde jego czoło opromienia myśl dumna: wszystko, czem jestem winienem sam sobie, siła moja, to własne dzieło moje, okupione krwią serca mego i oblane łzami memi.—Bo tylko życie poświęceń uzacnia byt człowieka, a żywot gnuśny bez wysileń i walki jest czczym żywotem zwierzęcia, bez wartości i pożytku dla drugich, i mówiąc słowami naszego poety - literata: „ten tylko zasługuje na wieniec, któremu wprzód skroń krwią ociekła.“

— Ja bo nie wiem nareszcie panowie — odezwał się żartobliwie p. Anzelm, chcąc zagadać sprawę — zkąd u licha brać nieustannie konceptu do pisania, bo przecież i najpełniejszy zasiek wyczerpnie się nakoniec. Ja pamiętam, jak zdawałem mój egzamen z trzeciej klasy gimnazyalnej, wypadło mi robić zadanie niemieckie. Jakżeż to ja się srodze namęczyłem! Przygotowywałem się cały tydzień, sporządziłem sobie notatki, robiłem mnogie memoranda, a pomimo wszystkich tych przygotowawczych korowodów i kilkogodzinnej w szkole pracy, skleiłem zaledwie niedołężną jedną stronę. Ej wolę taki już gospodarować, chociaż to gospodarować teraz u nas, mościdobrodzieju, to także nie miód lizać. — Czy panowie wszyscy komponujecie? — zapytał po chwili z uśmiechem nie do opisania.

— A tak, mniej więcej — odpowiedział gospodarz.

— A produkujecie też dużo?

Wszyscy na to zapytanie głośno się roześmieli.

— Nie macie się czego śmiać panowie, — odpowiedział p. Anzelm poprawiając się na krześle, jakby do dłuższej perory — bo ja gdybym — chroń mię Boże! — pisał, to pisałbym już podług pewnego systemu. Powiedziałbym sobie: będę produkował na dzień tyle, na tydzień tyle, na miesiąc tyle, co czyni na rok tyle a tyle. Bo teraz, mościdobrodzieju, nie przyjdziecie inaczej do końca. Każdy pisze, każdy smaruje, a same głupstwa. Aj żebyto nam Bóg dał kiedy takiego naprzykład Kocebuego.— Czytałem kilka jego kawałków— to się człowiek i uśmieje, i ubawi, bo te nasze teraźniejsze powieści, to — panie odpuść — po największej części takie jakieś ckliwe, łzawe jeremiady, że jak się człowiek przezwycięży i przeczyta jaką, to tak jakby sto kazań połknął. Wierzcie mi panowie — zawyrokował p. Anzelm z ciężkiem westchnieniem — literatura nasza upada co raz bardziej.

— Na łeb na szyję, — potwierdził seryo p. Gałka.

Wesoły śmiech młodzieży przerwał dalszą rozmowę, a p. Anzelm odezwał się cokolwiek urażony:

— Et, śmiejecie się ze mnie bo myślicie, że nasze czasy i najmądrzejsze i najlepsze, a ja tego nie powiem, i trzymam z moim dziadem, który powiada, że jak sobie wspomnie na dawne, to mu mało serce nie pęknie. Bo to dawniej n. p. przyjechał sąsiad do sąsiada, nawymyślał mu niestworzone rzeczy, nadziwili

się wzajemnie, uśmiali serdecznie, zjedli smaczny gospodarski obiadek i ucałowawszy się po bratersku, rozjechali się, kontenci z siebie i drugich. Teraz, mościdobrodzieju, każdy mądry, że aż strach; wie co się dzieje w Antyllach, a nie widzi własnej biedy, która z każdego wyziera kąta. Przyjedziesz do kogo, ukłoni ci się składnie, potraktuje chińską lurką, wytnie sens o wysokim szacunku i poważaniu, tere, fere, a to wszystko sieczka. Ja mościdobrodzieju także młody i pewnie nie należę do tych, co to chętnie prawią o dobrych starych czasach; ależ sami mi przyznacie, że teraźniejsze nie są wcale smaczne. Para szumi nam nad głowami, szumi w uszach, szumi w kieszeni, i bodajby tylko nie wyparowała ostatniej kropli krwi czystej, płynącej jeszcze w żyłach naszych. Z dawnej kontuszowej dziarskiej szlachty pozostało nam już tylko ckliwe pokolenie o kusych fraczkach i bladych licach, a za dalszych kilka lat dziesiątek stary kontusz, zawieszony w muzeach razem z cnotami dawnych swych panów, patrzeć będzie z żałością na mądrych wnuków, których z liczbą na ustach i próżnią w sercu nie rozezna już nawet od wnuków Izraela.

— O wierzaj mi kochany bracie — ozwał się z zapałem gospodarz — że i my kochamy tę naszą przeszłość poczciwą i czcimy stare ojców popioły; że i w naszych piersiach, chociaż pod frakiem, mieści się serdeczna miłość ojczyzny; że i w naszych piersiach, chociaż nieokrytych ani pancerzem ani zbrojową tarczą, znajdzie się jeszcze dosyć siły, i serdecznego zapału i miłości. Minęły jednak te czasy, gdzie pięść silna i szablica stanowiły jedyną wartość człowieka; pierwej żądano jedynie służby od silnej dłoni, teraz i pracy głowy wymagają od nas. Postęp wszechświata prze nas naprzód, i napróżno opieralibyśmy się niezwalczonemu jego prądowi; może postęp ten mieści w swem łonie niejedno ziarno zielsk jadowitych — lecz i dużo ziarn złotych znajdziemy na dnie jego Przeglądnijmy bowiem okiem bezstronnem dzieje najświetniejszej nawet naszej przeszłości, a przyznamy, że i tamte czasy nie były czasami złotemi. Przyszły one do nas prawnuków wyszlamowane wiekami zapomnienia; brud odpadł, a zostało tylko złoto cnot i zalet. Ja sądzę - dodał z ufnością — że czasy nasze jeźli nie lepsze, to wcale nie gorsze od przeszłych.

P. Anzelm machnął ręką i odpowiedział:

— Co wam pomoże gadać! Wolelibyście spokojnie, tak jak ojcowie wasi uprawiać rolę i siać hreczkę, niż gonić za wiatrem i łzami głębokiego współczucia skrapiać dziwaczne mrzonki wasze. Czynu nam trzeba, nie słowa, nie ksiąg, a co się tyczy teraźniejszości, to podobno patrzycie na nię przez szkło za nadto różowe.

— A ty kuzynku przez bardzo okopcone — dodał Władysław, przystąpił do p. Anzelma i ucałował go serdecznie, a widząc polepszony jego humor, ciągnął dalej:

— Sam zresztą przyznasz kuzynku, że potęga słowa jest olbrzymią, lecz nie czczego słowa zformułowanego tylko ustami, lecz słowa czucia, słowa serca. Bo w umyśle każdego człowieka jak perły drogocenne, rozrzucone myśli szlachetne; kto je umie wydobyć z głębi, oczyścić i nawlec w rząd dla świata, temu świat uwierzy i poklaśnie, i wyśpiewa piosenkę pochwały. Złudzony chwilowo unosi się on często; nad rzędem szklannych perełek, przez to jednak kosztowny płód morza nie straci na swej prawdziwej wartości, bo je potomność oceni i policzy do rzędu klejnotów.

— O — dodał z przeniknieniem — wielką jest potęga słowa, słowa czucia, słowa serca, dlatego często słowa proste wpadają nam najłatwiej do serca i rodzą tam owoc zbawienny, podczas gdy najszumniejszy bombast krasomowczy przeleci mimo ucha, i poleci gdzieś z wiatrem w błyskotliwej swej szacie. Jest więc jakaś nić sympatyczna utkana z atomów serca, która przez pisarza na papier przelana, tworzy właśnie ów węzeł tajemny między nim a czytającymi. Słowo serca bowiem trafi zawsze do serca; słowo rozumu trafi tylko do rozumu.

— Gadacie na pozór niby pięknie, a właściwie nie do rzeczy — odpowiedział na to p. Anzelm tonem strofującym — ot zwyczajnie jak młodzi!

— Gdy rozum dojrzeje, może przecież i w młodym pomieścić się ciele — odpowiedział milczący dotąd p. Mucha.

— Ej! — ofuknął się na to p. Anzelm — słyszałem ja mówiących ludzi dojrzałych, rozumnych, ba nawet uczonych. Ot trzeba posłuchać, co mówi o tem naprzykład mój sąsiad p. Wybrecki, a wierzyć mu przecież zechcecie, bo jest luminarzem całej okolicy. Trzyma wszystkie dzienniki, pisze na marginesach swoje uwagi, a jak wypalił pannie Maryannie wiersz na imieniny, to niech się schowa sam autor Erotek. *(D. c. n.)*

CHOROBY DUCHA.

Monomania wielkości *).

Monomania wielkości jest rodzajem obłąkania, mającego wielką wagę w porze obecnej i życiu dzisiejszem, tak dla ilości ofiar swoich, jako też dla rozpowszechniania się coraz znaczniejszego między wszelkiemi stanami społeczeństwa; chociaż przeczyć nie można, że ta choroba umysłowa najczęściej grasuje w klasie zwanej wyższą, mającej pretensye do lepszego ukształcenia.

Słabosć tę ducha odkryto i zbadano niedawnemi czasy w Sodomie świata nowożytnego, w Paryżu; jest ona symptomem choroby mózgowej, chronicznej meningitis, przechodząca fazy drażliwości nerwów, pocenia się nadzwyczajnego i sparaliżowania. Pierwszy Bayle odkrył ją i zastanawiał się nad nią r. 1822. Bayle był lekarzem w Charenton (dom obłąkanych dla wyższych stanów blisko Paryża), zajmował się gorliwie patologiczną anatomią mózgu obłąkanych i ogłosił roku wzmiankowanego Recherches sur les maladies mentales, dopiero odtąd naznaczono tej chorobie miejsce w psychiatryi pod nazwą monomanii wielkości. Jestto obłąkanie, które człowiek niejako sam sobie stwarza, gdyż

*) Zob. Baron Brandau. Aus den Papieren eines Arztes, von Galen. Leipzig, 1858 i Bayle Recherches sur les maladies mentales. Paris 1822.

źródło jego bije na dnie życia dzisiejszej młodzieży, a przynajmniej z niem w nader bliskim zostaje związku.

Jeżeli można niekiedy nazwać obłąkanie szczęśliwem zapomnieniem o sobie, to monomania wielkości jest najprzyjemniejszem obłąkaniem. Dotknięci nią nietylko są nieświadomi własnego obłąkania, ale owszem roją sobie, że są najszczęśliwsi, najzdolniejsi i najmożniejsi między śmiertelnikami. Cały okrąg ziemski jest ich własnością, albo mają przynajmniej władzę dowolnego rządzenia wszelkim bytem. Oni są panami świata, a inni tylko na ich rozkazy, dla ich korzyści i zabawy. Nie przypuszczają nawet, żeby byli czemś niepokaźnem, m a ł e m, — przeciwnie mają się za w i e l k i c h pod każdym względem, są rzadkością niesłychaną, jeniuszem, wzbudzającym w nędznych kreaturach cześć i podziwienie.

Ztąd też w urojeniu zajmują takie stanowisko, które w życiu powszedniem krótko widzący nad wartość cenią, i które w płaskich umysłach wznieca zazdrość; są więc hrabiami i magnatami, książętami i mocarzami tego świata, jenialnymi wieszczami, niesłyszanymi dotąd śpiewakami — słowem, doskonałością wszelkiego rodzaju i stopnia.

W oczach tych pożałowania godnych s z c z ę ś l i w y c h ludzi świat cały przybiera postać raju na ziemi, który oczywiście do nich należy. Powietrze, którem oddychają, jest dla nich eterem niebiańskim, a najpodlejszy kruszec złotem; woda, którą piją, płynem cudownym, mającym smak szampana, dla nich spiewają ptaki zachwycające pieśni, drzewa rodzą owoce dyamentowe i szmaragdowe; wszystko jest dla nich nektarem i ambrozyą, a lichy obiad, ucztą olimpijskich mieszkańców; każda kobieta, choćby była najniechlujniejszą Dulcineą Don Kiszota, ma kształty i przymioty Aspazyi, a Mickiewicze, Szopeny i inni znakomici i wielcy ludzie to ich przyjaciele od serca, jeżeli nie najbliżsi krewni.

Najdrobniejsze kółka machiny życia kręcą się według ich słowa, bieg dziejów zawisł jedynie od ich wszechmocnej woli, ich zdanie, jest sądem ludzkości — a nawet sam pan bóg jest ich sługą i podnóżkiem.

Rozumie się samo przez się, że skarby świata są pod ich wyłącznym zarządem, to też nie liczą tysiącami, ale milionami, i ogromne sumy rozdarowują, ktokolwiek ich o nie prosi. W obec podwładnych nadają sobie ton lekceważący, pański i surowy, przed ludźmi zaś, silniejszymi duchem lub przewyższającymi ich położeniem i znaczeniem, płaszczą się aż do podłości.

Ztąd wniosek, że treścią tej choroby umysłowej jest przesadzona zarozumiałość i nazbyt wygórowany szacunek samego siebie, dlatego też ofiary jej posiadają w urojeniu wszelkie wzniosłe przymioty, a moralnie i fizycznie najwyżej stoją i mają być wzorem prawie nie do naśladowania dla mrowiska ziemskiego.

Przyczyny tego obłąkania, tem straszniejszego, że wzmaga się z dniem każdym tak co do siły swojej, jak ilości cierpiących na nie, są rozmaite, — najczęściej zaś rozpusta i nadużycie sił cielesnych i duchowych. Ztąd obie nazwy francuskie: m o n o m a n i e d e s g r a n d e u r s i p a r a l y s i e g é n é r a l e p r o g r e s s i v e, z których pierwsza odnosi się do anomalii ducha, a druga więcej na somatyczne wskazuje przyczyny, gdyż chorobę tę wywołuje to wszystko, co niszczy ciało i ducha: a więc rozpusta wszelkiego rodzaju, podniecanie drażliwości, gwałtowne wzruszenia osobliwie w grach hazardowych, bezsenność umyślna i w ogólności nieumiarkowane natężenie umysłu.

Mężczyźni podlegają bardziej tej chorobie, na ośmdziesiąt indywiduów cierpiących tego rodzaju obłąkanie, znalazła się tylko jedna kobieta.

Ze zniszczeniem sił ciała rozwija się zwolna ta zabijająca słabość, dla tego zabijająca, bo doświadczenie uczy, że w przeciągu lat kilku, sześciu lub ośmiu, niechybnie zabija swoje ofiary. Początek jej nieznaczny, a nieobeznani z nią i nieświadomi jej symptomów, przyzwyczajeni nadto do dziwactw chorego, tem się pocieszają i tłumaczą pojawy obłąkania, że chory odznaczał się z dawna ekscentrycznością, stykającą się z cechami jenialności, nie zważając, że pojawy znacznie już przekroczyły linię, rozgraniczającą potęgę i dzielność ducha od jego słabości i bezwładności. Z początku jest taki człowiek tylko próżny, nadęty i obraźliwy, potem staje się pysznym, zarozumiałym, nieprzystępnym i obrażającym, w końcu zaś opuszcza go ostatnia iskierka rozsądku, a urojeniec zbliża się olbrzymiemi krokami do najwyższego a raczej do najniższego stopnia obłąkania.

Atoli te doskonałości urojone, nie znajdują się tylko w zakładach szaleńców, ale niestety chodzą samopas po ziemi i żyją we wszelkich warstwach społeczeństwa. Najzwyklej objawia się ta monomania chwilowo lub peryodycznie w jednostkach połowicznie kształconych, a przeto zarozumiałych, są to saagwinicy drażliwi, poddający się łatwo wrażeniom zmysłowym, a przypisujący sobie przeważne wpływy na wszelkie jestestwa.

Ci urojeńcy mają chwile, w których unoszą się nad poziomem powszedniego życia, niby na obłokach eterycznych, a wtedy światek ich myśli czy rojeń ma dla nich powab nieokreślony, czują się wyższymi — nie wiedzieć właściwie czem — w kole społeczeństwa, a według własnego mniemania, piorunowemi błyskami pomysłów wzbudzają podziwienie; niestety, myśli ich, to rzeczywiście pioruny, ale nocne, — po ich zniknieniu nastaje noc jeszcze ciemniejsza i czarniejsza, noc i ciemność zrujnowanego ducha!....

1860. S.

ROZMAITOŚCI.

— Donoszą z Krakowa, że przywieziono tam mumię z Egiptu, ofiarowaną w darze przez Aleksandra hr. Branickiego dla Muzeum Tow. Naukowego w Krakowie. Dotąd nie otwierano trumny dla obejrzenia nabalsamowanego ciała, nastąpi to poźniej. Cieszymy się przybyciem mumii do muzeum — pisze dalej C z a s — aleć wielki z nią kłopot! — bo muzeum nasze, to szczupły pokoik, w którym już tyle cennych zabytków mieści się jedne na drugich. Cóż począć z mumią zajmującą tyle miejsca! Jeżeli tak pójdzie dalej: będą skarby, a nie będzie ich gdzie postawić i pokazać. Ta jedna okoliczność powinnaby ożywić pamięć publiczności tak prędko ostygłej w ofiarach swoich na Dom Towarzystwa — a tu właśnie nie idzie o wielkie sumy, niepodobne w trudnych czasach, lecz o małe a ciągłe datki, przez co bez żadnych wysileń dokończenie budowy gmachu Towarzystwa, prędzejby doszło niż się spodziewamy. Gdyby ludność naszej prowincyi złożyła się po groszu tylko, jużby wystarczyło na ten pomnik pieczy narodowej o dobro nauk i o zabytki po przodkach.

— Znakomity archeolog August Mariette odkrył w Egipcie w pobliżu wielkiego sfinksu ogromny pałac granitowy. Pan Mariette twierdzi, że gmach ten należał do Chefrena, założyciela największej piramidy, a żyjącego na 3600 lat przed narodzeniem Chrystusa. Pomiędzy gruzami tego zabytku przedwiecznej przeszłości wynaleziono 7 posągów króla Chefrena.

— Dnia 23. maja zakończyły się majówki młodzieży szkolnej w Krakowie, które się odbywały na Bielanach. Młodzież bawiła się przy odgłosie muzyki i wracała wesoło do miasta, spiewając i puszczając na błoniu ognie sztuczne. Najprzód odbyła się majówka szkół początkowych, czyli tak zwanych głównych, następnie uczniów gimnazyalnych, a nakoniec szkoły technicznej. — Życzymy sobie bardzo, ażeby piękny ten zwyczaj został przez młodzież i u nas zaprowadzony. Przyczyniłby się on nie mało do rozbudzenia życia i utrwalenia koleżeństwa.

Wiadomości literackie.

— P o m n i k i i m o g i ł y P o l a k ó w n a c m e n t a r z a c h z a g r a n i c z n y c h, przez E. Marylskiego, z siedmiu kolorowanemi rycinami. Warszawa.

— A l b u m p o l s k i c h m a l a r z y, z wystawy P. T. sztuk pięknych w Krakowie. Tekst L. Siemieńskiego.

— D w ó r w i e j s k i przez Nakwaskę. Dzieło poświęcone gospodyniom polskim. 3 tomy. Warszawa.

— Ż y w o t y ś w i ę t y c h Ks. P. Skargi, wydanie ks. K. Maniewskiego, zeszyt 1—4, z prenumeratą na 10 zeszytów. Warszawa.

— C h r o n o l o g i a d z i e j ó w k r ó l e w s t w a p o l s k i e g o. Dzieło wydane nakładem spółki Wydawnictwa Biblioteki domowej w Żytomierzu, dla młodego pokolenia. Ułożył Szymon Konopacki. Tom I.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.